

**GŁĘBOKO WIERZĘ,
 ŻE KAŻDY JEST PRZYPISANY
 DO JAKIEJS KRAINY...**

Moje antypody

Tekst: Andrzej Politowicz

Zdjęcia: Marek Tomalik

Mapa Australii, która wisi na ścianie w domu Marka Tomalika, przypomina nieco anatomiczny szkic. Przecinające ją we wszystkich kierunkach zygawkowate linie są jak naczynia krwionośne, pulsujące jeszcze wspomnieniem upalnego słońca, klejącego się do pleców siedzenia landcruisera i bezkresnych przestrzeni. Te czarne to szlaki przebyte drogami. Czerwone biegną przez australijski outback – pustynie, tworzące interior najmniejszego z kontynentów.

– Głęboko wierzę, że każdy jest przypisany do jakiejś krainy – wyznaje Marek Tomalik. – Przekonałem się o tym, gdy zacząłem jeździć do Australii i spotkałem tam Aborygenów. Na ogół biali mają problemy w kontaktach z nimi. Są to ludzie mało przystępni i nie łakną kontaktu. A ja – pomimo bariery językowej i kulturowej – nie mam z tym problemu. Czuję z nimi bliskość.

Witaj Australio

Australia wkroczyła do jego życia w Łebie, w roku 1987. Nad morze pojechał z kolegami w połowie września. Słońca było jeszcze dość, by się wykapać, a ludzi jedna dziesiąta tego, co w sezonie.

– Notorycznie brakowało nam pieniędzy – opowiada. – Wiadomo, studenci. Żeby przeżyć kolejny kolorowy dzień, zbieraliśmy butelki. Rano się je myło, odstawiało do skupu i było na... bulkę i kefir. Pewnego dnia słyszę obok namiotu cudzoziemską gadkę. Zaczepili mnie. „Niezła kolekcja”, zagaili, zerkając na stertę butelek. Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby im tłumaczyć, co i jak. To byli Australijczycy, Garry i Kathryn. Potem okazało się, że coś iskrzy między nami, dobrze nam się rozmawia. Byli ciekawi ludzi w kolejnym kraju na swej drodze. Jechali przez Europę i coś ich tknęło, żeby przyjechać do pozamykanej Polski Ludowej. Kiedy po dwóch latach wrócili na swoją Tasmanię, przysłali mi w prezencie przewodnik po Australii. Drugą rzeczą, którą w krótkim czasie od nich dostałem wraz z żoną – choć o to nigdy nie prosiłem – były oficjalne zaproszenia. Wyczuli, że nie mogą zrobić mi większego prezentu. Podskoczyłem, gdy zobaczyłem, co trzymam w rękach. Na głowie miałem studia, ani grosza w kieszeni, a bilet do Australii kosztował wówczas, w 1989 roku, 20 do 30 miesięcznych pensji... Dla studenta abstrakcja. Ale dla mnie nie było to barierą.

Pieniądze Tomalik pozbiierał po rodzinie. Z wielkim trudem, bo ani on ani żona Katarzyna nie mieli bogatych krew-

nych. Gdy lądowali w Melbourne, mieli tylko przewodnik i dużo entuzjazmu. Spędzili w Australii rok. Najpierw przez kilka miesięcy pracowali, aby zwrócić pożyczone pieniądze i zarobić na pobyt.

– Potem wymyśliłem trasę, wsiadłem w autobus – i zacząłem życie podróżnika – zaciera ręce pan Marek. – Poczulem, co to znaczy zdobywać przestrzeń. Wielkanoc wypadła mi na Tasmanii, którą w siedemnaście dni przejechałem wzdłuż i wszerz. Pieszko pokonałem prawie 100-kilometrowy Overland Truck – jeden z najpiękniejszych szlaków trekkingowych na Ziemi, przecinający dziewicze, wolne od cywilizacji serce Tasmanii. Potem trzy miesiące wędrowałem dookoła Australii tzw. Małą Pętlą, czyli z pominięciem Australii Zachodniej.

wiecie na wyprawę nie miałem pieniędzy, a chciałem wciągnąć całą rodzinę, także Kubę, aby mu pokazać, że nie tylko nie jest gorszy, ale nawet lepszy niż inni. Wtedy wydarzyło się coś niecodziennego. W Warszawie, siedząc na krawężniku, zadzwoniłem do nieznanego mi wcześniej do dyrektora. I oto Rafał Walas z firmy Roche Diagnostics Polska powiedział, że spotka się ze mną. Poleciałem do niego na piechotę przez pół Warszawy. W skupieniu mnie wysłuchał, potem zaczął wypytywać o szczegóły. I wszedł w projekt. Ich oddział produkuje między innymi akcesoria dla diabetyków: pompy insulinowe, glukometry, paski do glukometrów itd. Udało mi się przekonać jeszcze dwie firmy, i nagle okazało się, że wyjazd jest w zasięgu ręki.

Wyprawa miała się składać z dwóch części. Pierwsza miała udowodnić, że jest możliwe podróżowanie po Australii

PIĘKNO, KTÓRE SIĘ TAM PRZED NAMI ROZTA- CZAŁO, BYŁO TAK PRZEJMUJĄCE, ŻE NADAL NIE MOGĘ SIĘ OD NIEGO UWOLNIĆ.

Pod prąd

– Po wylądowaniu w Warszawie obejrzałem się na samolot i coś we mnie jęknęło: nie, to się nie może tak skończyć! – opowiada. – Zobaczyłem twarze podenerowanych, żyjących w ciągłym napięciu ludzi... To było coś kompletnie innego niż to, co właśnie opuściłem. Pod względem relacji międzyludzkich Australia jest rajem. To nie znaczy, że pierwszy przechodzień wsunie ci do kieszeni sto dolarów. Nie. Natomiast człowiek człowiekowi nie jest tam wilkiem. Relacje ułożone są na bardzo przyzwoitym poziomie.

Wrócił do Krakowa na geologię. Minęło jedenaście lat, nim poczuł się gotowy, by zrealizować swój wielki zamysł – podróż autem terenowym szlakiem Canninga.

Canning Stock Route stanowi dla entuzjastów wypraw samochodowych przez pustynię wyzwanie największego kalibru. Ten stuletni szlak, którym dawniej pędzono bydło, ciągnie się prawie dwa tysiące kilometrów, przecinając pustynie Gibsona, Tanami, oraz Małą i Wielką Pustynię Piaszczystą. Zaczyna się 950 km od Perth, w liczącym 300 mieszkańców miasteczku Wiluna, a kończy w niewiele większym Halls Creek. Po drodze, prócz skał i piasku, spotyka się wraki aut i zbieleńskie kości bydła, a także dzikie wielbłądy (ich przodków przywieziono z Afganistanu w początkach XIX wieku), kangury i jaszczurki. Raz po raz ktoś tu ginie z odwodnienia lub przegrzania. Z czasów odważnych ludzi pędzących tędy bydło, gdy było na szlaku 51 studni, ocalało zaledwie kilkanaście, a tylko w kilku z nich można liczyć na wodę.

– Nosilem w sobie ten projekt, gdy okazało się, że mój sześciolatek syn Kuba ma cukrzycę. To był potężny cios. Dotarło do mnie, że to już koniec wypraw, trzeba się zająć dzieckiem, bo cukrzyca to choroba, która wymaga nieustannej uwagi. Ale gdy minął szok, stwierdziłem – nie! To jest zaproszenie do wzmocnienia – a nie do osłabienia działań. A więc Australia! Oczy-

z dzieckiem chorym na cukrzycę. Pojechali we czwórkę, z Kubą i czteroletnim Mikołajem. Ich auto campingowe nie było przystosowane do jazdy po bezdrożach, toteż trasa długości 5 tys. km wiodła głównie drogami asfaltowymi i szutrowymi. Na szczęście samochód miał klimatyzację i lodówkę, niezbędną do przechowywania insuliny. Najpierw przemierzali Australię Zachodnią: z Perth, przez Mt Magnet, Mee-katharra i Newman do Karijini, jednego z najpiękniejszych parków narodowych Australii. Potem dotarli do parków narodowych w okolicy Exmouth na Przylądku Północno-Zachodnim – i wrócili do Perth.

Drugą część miała stanowić wyprawa szlakiem Canninga.

Na szlaku szlaków

– Po wyjeździe żony i chłopców miałem dwa tygodnie na skompletowanie ekipy – wspomina. – W Perth trafiłem do parafii Franciszkanów i ojciec Tomasz Bujakowski mówi: „Pojeździemy w niedzielę na mszę do domu polskiego, do Cracovii.” Msza była dziwna, bo odprawiana na platformie samochodu, a zamiast organów były gitary elektryczne. Pięćdziesiąt metrów dalej grano w piłkę, a parę kroków za ołtarzem szykowano barbecue, czyli grill. Msza zawsze kończyła się przy piwie, winie i kielbaskach. Jeszcze podczas mszy ojciec przedstawił nas i nasz projekt. Rozmów z ludźmi, którzy mieli samochody terenowe, przeprowadziłem wtedy ponad dwadzieścia. Ostatecznie konwój składał się z czterech aut, w każdym po dwie osoby.

Gdy przejechali połowę morderczego szlaku okazało się, że północna jego część jest zalana i oficjalnie zamknięta. Na pustyni największym problemem jest deszcz. Trzeba być przygotowanym, że jak zacznie padać, to przez dwa tygodnie można mieć problem z wykopaniem auta z błota. W gminie aborygeńskiej powiedzieli im: „Szlak jest zamknięty. No, ale jeśli was korci...”. I to przeważało, choć obaw nie brakowało. Ru-



szli dalej już tylko w dwa najlepsze auta i cztery osoby: Marek Tomalik z kolegą z Polski Pawłem Bulskim (Dingo) i dwóch Australijczyków: Adam Murcha (Rocket) i Staś Olejnik (Spini).

– Jeśli wszystko idzie dobrze, całą trasę pokonuje się w dwa tygodnie, co oznacza jazdę po 8 do 10 godzin dziennie ze średnią prędkością 15 do 20 km na godzinę. Momentami było bardzo ciężko, ale nikt nie powiedział „wracamy”. Wreszcie dojechaliśmy do Halls Creek. One pub town, mówi się na takie miasteczka w Australii. Kupiliśmy coś do jedzenia, przejrzelismy silniki i zawieszania, naprawiliśmy koła, uzupełniliśmy paliwo – i z powrotem w busz! Mogliśmy zostać na noc w pensjonacie, ale nie dalo się. Nawet w buszu irytowały nas prze-

jeżdżące raz na godzinę samochody. Piękno, które się tam przed nami roztaczało, było tak przejmujące, że nadal nie mogę się od niego uwolnić. To intensywność doznań trudna do opisanía. Już wtedy wiedziałem, że trudno będzie się od tego oderwać.

Tropem Strzeleckiego 2004

Za wyprawę szlakiem Canninga zespół Tomalika otrzymał Kolosa, najbardziej prestiżową nagrodę polskich podróżników. A wkrótce potem spadła na niego fascynacja największym polskim odkrywcą, Pawłem Edmundem Strzeleckim. Przebywał on w Australii cztery lata, odkrywając bogactwa,





Marek Tomalik – podróżnik, dziennikarz National Geographic Polska, manager zespołu rockowego ANKH, miłośnik i znawca Australii. Z wykształcenia geolog. Pisze o podróżach i o muzyce. Jest autorem setek publikacji i kilku wystaw fotograficznych. Od 2001 roku prowadzi Klub Podróżnika Shackleton. W 2007 roku został członkiem Kapituły Travellerów - nagrody przyznawanej przez National Geographic. Współtworzy kolejne edycje Festiwalu Podróżników 3 Żywioty. Organizuje samochodowe wyprawy w outback – australijskie bezdroża.

www.australia-przygoda.com

badając kontynent i zostawiając po sobie liczne ślady. Nad przygotowaniem wyprawy, która miała podążyć jego tropem, pan Marek pracował przez dwa lata po kilka godzin dziennie.

– *Przygotowania oparłem o Onet.pl i National Geographic, w którym ukazała się relacja z wcześniejszej wyprawy, i który objął projekt patronatem medialnym. Miałem już wtedy rewelacyjne kontakty z ambasadą Australii, która okazała się najważniejszym sponsorem nowej wyprawy. Spędziłem długie godziny na rozmowach z Patrickiem Lawless'em, ówczesnym ambasadorem Australii w Polsce, który entuzjastycznie się zaangażował. Potem zachorował, i wtedy pani od PR w Ambasadzie raz po raz informowała mnie: „Pan ambasador jest chory na płuca, ale ciągle dzwoni do Canberry i szuka dla was pieniędzy”.*

We wrześniu wylądowała w Perth czwórka z Polski: Marek Tomalik, Piotr Trybalski, Paweł Tysa i Sławek Sławażycki ze Studia Filmowego Hybryda. Dołączyli ze swymi wehikulami z napędem na cztery koła, sprawdzeni Australijczycy: Adam Murcha, Waldek Obłąk, Marek Zimowski i Polonus z Kanady Jerzy Adamuszek. Przez czterdzieści dni pokonali około 15 tysięcy kilometrów, przecinając bezdroża Małej Pustyni Piaszczystej, Pustyni Gibsona, Pustyni Simpsona, Pustyni Strzeleckiego i Wielkiego Basenu Artyjskiego. Zaczęli od szlaku poszukiwaczy złota Holland Track, by odwiedzić

miejsca, nazwane przez lub na cześć Strzeleckiego. A jest tego sporo: Rzeka Strzeleckiego, Szlak Strzeleckiego, Rezerwat Przyrody Strzeleckiego, Góra Strzeleckiego w paśmie Crawford Range, 300 km na północ od Alice Springs... Jest też Strzelecki Public Hall w miejscowości Strzelecki, Strzelecki Road, Strzelecki Plantation, Strzelecki Forest. Do niedawna w Mirboo North działał również browar „Strzelecki”, który produkował 4 gatunki piwa o nazwie Strzelecki. Przebyli również trasę południem Australii, którą polski odkrywca konno i pieszo przez pół roku przemierzał na przełomie lat 1839/40. Górę Kościuszki – najwyższy szczyt Australii i Alp Australijskich, nazwany tak przez Strzeleckiego – zdobywali na nartach, bo trwała tam właśnie zima trzydziestolecia. Była zadymka, widzialność ograniczona do kilku metrów, i górę znaleźli tylko dzięki GPS.

– *Nasze auta wyklejone były mapami trasy. Australijczycy, którzy spotykali je po drodze, opadały szczęki – opowiada ze śmiechem pan Marek. – Zabrakło nam tylko czasu i funduszy, by polecieć na wyspę Flinders koło Tasmanii, gdzie wznoszą się dwa szczyty, ochrzczone na cześć Strzeleckiego. No i przez cały czas usiłowaliśmy ściągać na siebie uwagę australijskich mediów. Przecież pojechaliliśmy tam, by przypominać dokonania wielkiego Polaka!* ■